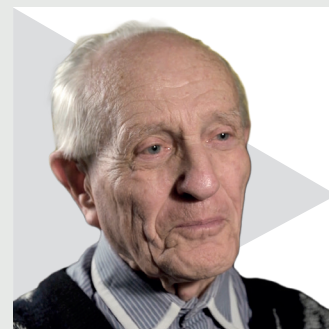




Mieczysław Chojnacki

część VI z VII

Sygnatura notacji: **N0867**
Data urodzenia: **26.03.1924 r.**
Data nagrania: **11.02.2014 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sudoł, Maciej Żuczkowski**
Czas nagrania: **cz. I: 49 min, cz. II: 53 min, cz. III: 39, cz. IV: 69, cz. V: 86,**
Format nagrania: **video** **cz. VI: 55, cz. VII:68**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Tomasz Sudoł: Panie Mieczysławie, jakbyśmy zaczęli od tego, kiedy pana aresztowano, jak to wyglądało, jakby pan jeszcze powiedział...

Mieczysław Chojnacki: Zaraz. Niemcy, jak mnie aresztowali.

Tomasz Sudoł: Tak.

Mieczysław Chojnacki: To w tej chwili, co mówiłem, na przejeździe.

Tomasz Sudoł: To było kiedy? To był...

Mieczysław Chojnacki: To był 10., powiedzmy, 10 sierpnia.

Tomasz Sudoł: 1944.

Mieczysław Chojnacki: Sierpień, 10 sierpnia mógł być. 10-11 sierpnia. Tak jakoś było. Już koniec dekady pierwszej sierpnia.

Tomasz Sudoł: I co się później działo, gdzie pana wywieziono?

Mieczysław Chojnacki: Więc oni tam zgromadzili nas około 60 chłopca. Najstarszy to mógł mieć ze 40 lat, a najmłodszy mógł mieć z 15 lat. To był z Wołomina. I my byliśmy ciekawi, co się stanie z tymi trzema. Uszliśmy jakieś 200 metrów i słysząc: „O, leć za nami”, więc się obejrzałem, patrzę, a tu tych trzech biegnie za nami, co nie mają pęt na rękach, tylko to. I tam była taka historia, bo opowiadał Cezary, że w tym momencie prawie znalazł się tam major żandarmerii, taki starszawy dosyć. I młody taki Niemczak podchodzi i mówi: „Panie majorze, ja ich załatwię, niech pan pozwoli”, a ten go zrugął, kazał rozwiązać tych trzech i zjeżdżać, żeby dołączyli do naszej grupy, około 60 ludzi. Takie było ich ocalenie. I moje aresztowanie. Zatrzymanie.

Tomasz Sudół: Gdzie to było?

Mieczysław Chojnacki: No i szliśmy do Wołomina. Po drodze mijał nas ten pociąg pancerny, z którym mieliśmy przez cztery dni różne potyczki, a oni prowadzili rozpoznanie po prostu naszej pozycji, rozpoznanie ogniowe, to chyba panowie wiedzą, o co to chodzi, nie?

Tomasz Sudół: Tak.

Mieczysław Chojnacki: I ustalili pewne rzeczy, i czwartego dnia kalendarzowego, jak zajmowaliśmy Tłuszcz, to nastąpiło uderzenie. Z jednej strony tam samochody pancerne, chyba pluton samochodów pancernych i chyba z pluton czołgów, może więcej i oczywiście grenadierzy pancerni, chyba przynajmniej kompania, i pociąg pancerny. I oni zajęli Tłuszcz. I właśnie ten pociąg pancerny, mijając nas, w drodze do Wołomina, pokazywali tak, że z nami się stanie, ale nikt nam tego poważnie bardzo nie traktował, bo jakby chcieli, to by już zrobili, a nie tam gdzieś. Doszliśmy do Wołomina. I na dworcu, ta kolumna była nieduża, około 60 ludzi, a szliśmy już tam, gdzie można było piątkami, czyli było 12, powiedzmy, 15 piątek. To było widać, co się dzieje. I przede mną, ja gdzieś tak szedłem bliżej środka, może bliżej końca tej grupy, i zauważyłem, że w pewnej chwili to z takim młodym wołominiakiem, zdaje się, może 15-latką, może nie, a czwórka przede mną, ta piątka rozmawiać. I raptem podnieśli, taczki leżały i te taczki leżały tak dnem do góry. I oni chwycili we dwóch po rączce tych taczek, a ten chłopak podszedł, wsunął się tam, to był niewielki chłopak, wsunął się pod te taczki, przykryli i poszliśmy dalej. I nikt tego nie zauważył, i on został. Co się z tym chłopaczkiem stało, ja nie wiem, bo poszliśmy ze dwa kilometry dalej, a on został. Po drodze trochę śmiechu było, ale nie wiadomo, czy on przeżył, czy tam coś nie tego. W każdym bądź razie ta eskorta nie zauważyła tego, bo szła dalej z nami w niezmiennym składzie. Było ich tam chyba ze czterech, może z sześciu, ale szwabi nieraz popełniają błędy. I resztą bardzo często. Przeprowadzili nas na takie, dziś to może już to pole takie piaszczyste nie istnieje, między Wołominem a Kobyłką, jak się szło w stronę Warszawy po prawej stronie, przylegające do torów. I to było takie jakieś pastwisko, bardzo nędzne, piaszczyste, miejscami zupełnie piaszczyste. No i... Aha, tutaj, no i usiadłem koło... w grupie tak byli bracia Zajęce z ojcem, dwóch Zajęców z ojcem, a to tych dwóch to właśnie są z oddziału „Wyboja”, a tam cała była rodzina zaangażowana. Więc usiedliśmy tak w gromadce. I ja usiadłem koło Cezarego. On w pewnej chwili... Dwóch żandarmów stało jakieś 10 kroków niespełna od nas, może, ponad 5 kroków i rozmawiali z dosyć przystojną dziewczyną, tak dosyć wesołą, mało zwracając uwagi na nas. Proszę was, i w pewnej chwili Cezary do mnie mówi tak: „Przysuń się bliżej. Ja w lewej kieszeni mam magazyn od pistoletu załadowany

amunicją". Proszę sobie wyobrazić zdenerwowanie Niemców, bo jego tam rewidowali. Brali jak to wiadomo, dotykali wszędzie i pod chusteczką do nosa nie namacali tego magazynu, bo by dostał w łeb i tyle, na miejscu. W ten sposób ocalał chłopak. Ocalał chłopak, sprytny był, ocalał. Tu mu szczęście dopisało. I mówi tak: „Wyjmij to. Najpierw - mówi - wygrzeb ręką między nami dziurę w tym piachu. Wyjmiesz to z kieszeni, zagłębisz jeszcze głębiej w ten piach, zasypiesz i usiądę na tym". I ja tak zrobiłem, tylko to dobrze, że ta dziewczyna z nimi rozmawiała, bo oni nie zwracali uwagi. Ale co dziwnego się stało, w pewnej chwili oni zwrócili uwagę na tych pozostałych trzech Warszawian. I zaczęli nawoływać, a ona powiedziała do nich coś zrozumiałe, że oni poznali, jakaś tam znajomość musiała między nimi być i mówi do Niemców, że o tego jej chodzi, o tego. O tych właśnie dwóch. I kazali ci żandarmi im wstać i Niemiec się do nich odzywa po niemiecku. Bo ona tam coś przetłumaczyła, myśmy zrozumieli: „Idźcie stąd jak najszybciej, niech was nie widzimy". I oni się uklonili jej, tam trochę tym Niemcom też, i poszli, i tyle o nich wiem. Czy oni ocaleli, czy nie, to trudno wiedzieć. Więc myśmy doszli do tego, siedzieli tam jeszcze pewien czas i jak się zaczął zmrok, ustawiono nas w piątki, a było już nas 460 czy 480 ludzi. Mało który miał, jak się potem okazało, tam jeden miał może z 50 lat, jak się dostał. Było tam parę osób, kilku ludzi tak 40-letnich, a tak to wszystko było gdzieś w okolicy 20 lat chłopcy i to duża część to była akowców tam. I oni nas zaczęli prowadzić. Chyba z kompania ludzi nas otoczyła z psami. Z przodu szedł samochód pancerny, z tyłu samochód pancerny i jak nas było 460, to można powiedzieć, że co trzy, cztery kroki szedł Niemiec z jednej i drugiej strony. I nim ta kolumna ruszyła, to Niemiec powiedział tak, widocznie komendant tego konwoju, po niemiecku tam do nich mówił, że jak w razie próby ucieczki któregoś z tych tutaj eskortowanych strzelać bez ostrzeżenia. I ruszyliśmy przed siebie. Jak się okazało, to szliśmy tutaj na to skrzyżowanie takie dróg w pobliżu Strugi, tej miejscowości, w pobliżu skrzyżowania, w pobliżu skrzyżowania w stronę tam północną, taka krzyżówka jest. I tam doszliśmy, i dalej nas prowadzono, jak się okazało, do Benjaminowa. Już był mrok. Nikt nie uciekł, bo dosłownie o dwa kroki by Niemca spotkał, a myśmy szli, byliśmy tak zmęczeni tymi przeżyciami, że trzymaliśmy się pod ręce w piątkach i drzemałem, jak szedłem tam w tej piątce. Tak na pamięć trochę, jak się tam komuś nadepnęło, to nawet się nie odzywał, bo nie czuł, bo sam też drzemał. I ta drzemiąca kolumna przemęczonych chłopaków dotarła do beniaminowskich tych baraków. Więc do Benjaminowa przyszliśmy, nie wiem, czy istnieją dziś te baraki, prawdopodobnie nie. W każdym bądź razie tam w Benjaminowie był dosyć duży obóz. Legioniści tam siedzieli kiedyś w Benjaminowie. W tym obozie tam jest fort taki dosyć mocny, tam droga, szosa tak się troszeczkę paroma zakrętami idzie, z Radzymina prowadzi dalej, omijając ów fort zaniedbany. Baraków prawdopodobnie nie ma. Tych baraków było sporo. Trudno mi powiedzieć. Do jednego z nich nas tam wsadzono. Nie wiem, czy wszystkich, 480 czy może zajęliśmy parę baraków. To już nie ogarnia moja pamięć. To były baraki wkopane częściowo w ziemię, a pod tym niby zadaszaniem to prawie były co pewien czas takie małe szybki, dające tam jakieś światło i jednolite takie, dwupoziomowe miejsca do leżenia, siedzenia i tak dalej. Więc ja tam położyłem się między swoimi znajomymi, tymi chłopakami, bo tam było nas kilku z oddziału „Wyboja". Już po tym takim wielkim strachu. Ale ten Cezary, który ocalał w taki dosyć niezwykły sposób, zgłosił się na ochotnika, bo tam się domagaliśmy jedzenia, więc mieli przynieść ziemniaków. Wybrano spośród tej grupy z dziesięciu chłopaków, żeby poszli do Benjaminowa i zakupili albo wyżebrali parę worków ziemniaków. Ale ich uprzedzili, że jak nie wrócą, to za każdego z nich dziesięciu z nas rozwalą. Więc oni byli moralnie zmuszeni do tego, żeby wrócić z tymi ziemniakami. Te ziemniaki przynieśli jeszcze przed naszym snem, bo woleliśmy na zewnątrz siedzieć, bo jak się tam weszło, to już było pełno pcheł na człowieku. Strasznie takie dokuczliwe stworzenie i piekąca potem skóra, a tego było mrowie. To nie było co walczyć, tylko już palili albo człowiek mówił: „Niech mnie zjedzą", byle się przespać. Więc tych ziem-

niaków nawet nie wykorzystaliśmy, bo jak przespaliśmy się, to okazało się, że już trzeba wyjeżdżać i ziemniaki zostały. Ale pchły nam w odzieniu zostały i te ślady na skórze, i te złe wspomnienia to były posowieckie też tam, jeńcy sowieccy siedzieli, to zostawili taką właśnie pamiątkę po sobie. Masę pcheł. To bardzo złe wspomnienie jest. Załadowano nas po 20-kilku na samochody ciężarowe, podstawiono i ruszono. Ruszono w drogę, patrzyliśmy, co oni z nami zrobią. Panikarze mówili, że nas wiozą do Warszawy, bo Warszawa płonęła i że nas przed czołgi wezmą. To sobie myślę, jak tak zrobią, to trzeba będzie gdzie w ruiny pryskać i nie ryzykować. To tam albo zabiją, albo człowiek zwieje i już. Nie ma tak, żeby wszystkich wybili. I dowieźli nas gdzieś pod Modlin, chyba do Kazunia, przez Wisłę i na stronę warszawską. I zaczęli w stronę Warszawy jechać, bo tak prowadzi droga potem na zachód. Trzeba podjechać do Warszawy, żeby potem gdzieś tam do Sochaczewa się wydostać. Nie znam dobrze tej okolicy, w którym to miejscu, ale gdzieś na południe od Puszczy Kampinoskiej. Dojechaliśmy całą czas w stronę płonącej Warszawy, raniutko, i wyjechaliśmy właśnie na tę drogę tam, jak Włochy, jak te miejscowości, a oni nas wieźli do Szymanowa. To było raniutko. Wiem, że na tej szosie to jeden wyskoczył i nawet nie strzelali za nim, bo by musieli całą kolumnę samochodów zatrzymać. Udało mu się. Nie przewrócił się, pod koła, nic, uciekł. My sobie też myślimy tak, to dobry sposób, tylko ciasno było na tym samochodzie tak, kazali nam siedzieć i tu między nogami siedział już drugi. Przepchać się przez taką ciżbę, ile nas tam siedziało, 20-kilku, może ja wiem, może 30 się mieściło, tak że ci, co przy burcie siedzieli, to im trudno nawet było wstać. Więc zaczęli, dojechali do Szymanowa i skręcili z głównej szosy, pobłądzili trochę do obozu, ta kolumna Niemców. To musiało być kilkanaście samochodów na 480 na pewno i ta kolumna wjechała na południe w taką wiejską, wąską ulicę. Po jednej stronie były domy, a po drugiej nie było, tylko taki jakiś rów i takie jakieś zarośla. I zatrzymali się na chwilę, i ludzie im powiedzieli, że jeśli do obozu, to mają wrócić i to jeszcze ze dwa kilometry przejechali nie we właściwe miejsce. I oni na tej wąskiej drodze w pewnym miejscu pojedyncze te samochody zaczęły wychodzić z tej kolumny i wracać, ledwo się mieszcząc na tej drodze z powrotem. I tu się wydarzyła okazja, bo przede mną dwóch wyskoczyło, a 20 kroków dalej już stały domy i tam jakaś kobieta ręką tam dawała znaki im, tym, co wyskoczyli, żeby od razu tam za dom się schowali. I przypadli te chłopaki. Więc zacząłem się przepychać tam z tymi innymi, ale blokowali. Jeden był niezdecydowany, to myśmy byli go wyrzucić. I w ten sposób okazja minęła na niczym, bo nie można było się przepchać. I dowieźli nas właśnie do linii kolejowej, i przy tej linii kolejowej w stronę zachodnią, na lewo skręcili, już był obóz jeniecki. I tam było parę noclegów, już razem z kacapami. Tam siedziało około tysiąca kacapów, świeżych jeńców wziętych gdzieś pod Radzyminem, Wołominem do niewoli i już tam przetransportowanych. I skosztowaliśmy tej obozowej zupki takiej. Byliśmy tam niedługo. Byliśmy tam niedługo. Oni sprawdzali listę, okazało się, że tam po drodze kilku zwiato, to widocznie to była jakaś liczba dopuszczalna. Było nas tam tych 460 czy 480 i widać było, że szykują nas do transportu. A w międzyczasie zaopiekowali się nami, bo po drugiej stronie torów był ten klasztor, co to ojciec Kolbe tych zakonników i raptem oni przyjechali paroma furmankami, i każdemu z nas, z tych Polaków, dostawałem chyba żółtego sera, może pół kilograma albo lepiej i bochenek białego chleba dostałem. I każdy tak dostawał z nas, a z daleka stali kacapy i ci jeńcy, świeżo wzięci do niewoli i czekali. Jak się okazało, to ludzkie serca mieli ci zakonnicy, bo ich wszystkich też zaopatrzyli podobnie. Tysiąc ludzi, 1200-1300 ludzi, każdy dostał bochenek chleba i taki kawał sera żółtego. To wiara była taka głodna, że to rwała ten chleb i ser, i od razu tam na miejscu zjadali to. To było takie jedno ludzkie pożywienie przez kilka dni. Popić to można było tam wodę ze studni, to już mniejsza z tym. A oni zaczęli wtedy dyskutować między sobą. Ja tak usta, troszkę po rosyjsku rozumiałem, bo mnie ojciec przez trzy miesiące uczył trochę po rosyjsku i tam stał między nimi prawdopodobnie jeden oficer i opowiadał, w jaki sposób Niemcy do niewoli wzięli. Ja to wysłucha-

łem tam, ich okrążyli, ich jednostkę i oni się poddali tam. Trochę dostali ognia, tak że nie mogli wytrzymać i ich wszy też nie mogły wytrzymać tego ognia, i się poddali do niewoli. I raptem tutaj mieli taką ucztę, i się dziwili tylko, skąd to u tych zakonników tyle żywności, a te żywności to możliwe i dary od ludzi były, bo to była taka dosyć bogata na dobrej ziemi ta wieś położona, bo sochaczewskie, tam mieszkałem rok, to mówiono, że tam jest dobra ziemia tak zwana czarnoziemy bagienne.

Tomasz Sudół: I wywieziono was stamtąd?

Mieczysław Chojnacki: Więc jak nas... Najpierw rewizja. O, człowieku, rewizja to była ciężka. Musiał się... Podchodziliśmy piątkami. Trzeba było się zupełnie rozebrać do naga. Zupełnie. Kazali się odwrócić, zaglądali, no, mam mówić gdzie? W tyłek zaglądali, patrzyli, czy coś tam nie ma. Potem, jak było wszystko w porządku, kazali się tej piątce ubierać, ale to tak, żeby mniej więcej jednakowo i znów następna piątka, bo pięciu rewidowało, a jeden tam tak to nadzorował. I przy mnie znaleźli u chłopaka igłę, to go skopali. To go skopali. Jeszcze się nie ubrał i go skopali. Tak dostać kopniaków parę, nawet takim podkutym butem, oni mieli też buciory ciężkie dosyć. Nawet za to. Czy jak by znaleźli ołówek, czy jakąś karteczkę, to już bili od razu na nagusa, jak się było. I jak oni zrewidowali piątkę, to od razu do wagonu. Tam stali i kierowali do którego wagonu. I w wagonie towarowym było nas coś blisko 56. czy 58. Jak nas zapakowali, taką ilość tych chłopaków, to zatrzasnęli drzwi, zaplombowali, koniec. I teraz dokąd będą wieźli, nie wiedzieliśmy, z tego Beniaminowa. Jak się okazało, dojechaliśmy jeszcze za dnia, a wiedzieliśmy, że tam jeszcze są lasy i że tam jest partyzantka. I tak niektórzy to tak nawet się modlili o to, żeby tam nas trochę postrzelali, ale jak minęliśmy Łowicz i wjechaliśmy już na teren Rajchu za Łowiczem, to już ta nadzieja prysnęła, bo nas dowieźli, tak, to już nas wieźli trasą tutaj tą, od Łowicza wieźli gdzieś w stronę Kalisza. Ominęli Poznań gdzieś w rejonie Łuzyc, jak Chociebuż, przeprawiliśmy się przez te Łuzycy, to była już noc. Duszno było, chciało się za swoją potrzebą, to tam byli tacy, którzy nawet przemycić zdołali nożyki. I tymi nożykami wywiercili otwór, wycięli, w podłodze, i tam można było jakoś się załatwić, ale ja z tego nie korzystałem przez cztery doby, tylko tam tak coś na mokro siknąć, to było można, a oni byli dosyć pomysłowi. Catej deski nie mogli wypiłować, to chociaż tyle, żeby ludziom ulżyło. To nie dostawaliśmy nic, nie otwierali tych wagonów, aż dopiero po czterech dobach. Po czterech... Nie po czterech dobach, a gdzieś po dwóch dobach. Upał był niemiłosierny. Po dwóch dobach gdzieś za Chociebużem, a Chociebuż był bombardowany i płonął, to śmieliśmy się z zadowolenia, że tam im przykropili. Widocznie w nocy im przykropili, a nas rankiem jakoś tam prowadzili. Gdzieś w Chociebużu albo koło Chociebuża otworzyli drzwi, odryglowali i tam stały takie dziewczyny, i pod kontrolą przy każdym wagonie na dwóch dostawaliśmy tyle, może po pół takiego kubeczka wody, to te pół tego garnuszka wody to było na dwóch. To tam było parę tyków, wypito się to, garnuszek się oddało i innym nalewali też, tylko połowę. To w tym upale takim i ciasnocie, to nie położyło się, tylko właściwie cały czas to siedziałem na tych dechach i tak. I po tym nakarmieniu nas drzwi się zatrzasnęły, zaplombowali i dalej trzeba było jechać. To był cały posiłek. I potem gdzieś już dojeżdżaliśmy, powiedzmy do takiego miasta niedużego. Ono się nazywało, już nie pamiętam, jak. W każdym razie to było gdzieś już za Magdeburgiem, już bliżej tego turyńskiego lasu i widzieliśmy na niebie, bo takie były te zakratowane okienka, ale jednak widzieliśmy u góry samoloty, formację samolotów alianckich jeszcze w dzień. To raczej były amerykańskie, bo oni w dzień sobie buszowali, a Anglicy, Polacy i Kanadyjczycy to w nocy raczej prowadzili naloty. I tam nas zatrzymano po czterech dobach wśród lasu. Po kolei otwierano drzwi i wychodzić. Wszędzie, gdzie się spojrzało, las. To jak z tego wagonu wyszedłem, to mało się nie

przewróciłem od tego świeżego powietrza i taki byłem słaby. Właściwie to taka chyba śmierć głodowa to nie jest taka straszna, bo tylko mi się czwartego dnia bardzo spać chciało. To by człowiek usnął i wszystko. Słabo na nogach się trzymałem i byłem boso, bo buty nam zabrali. Tego nie wspominałem. Buty były w wagonie gdzieś i tam buty miałem takie z cholewami, dosyć dobre. Troszkę mi było tak żal, ale w każdym razie jak tam wypuścili wszystkich z tych wagonów, to było tak 800 kacapów i 460 czy coś nas, to było tych sporo ludzi. I ruszyliśmy pieszo. Pieszo po asfalcie. Dobrze, że to było tak jeszcze dosyć rano, bo inaczej to by był asfalt rozpalony i to boso iść, to nie bardzo by to nam pasowało. Szliśmy niedaleko. Może za dwa kilometry, ale to nas zmęczyło, bo nie byliśmy za mocni. I okazuje się, że prowadzą nas do obozu. Był to taki ogrodzony podwójnym drutem czworobok, ja wiem, 500 metrów na może 600 czy ile. Jak się okazało, to w tym miejscu było bagno i jeńcy rosyjscy opowiadali, że oni to bagno zasypywali, niosąc to w workach na plecach piach jakiś tam z wydmy, coś takiego. A który był słaby i wpadł tam w to bagno, to go przysypywali i dalej się sprawa toczyła. Tak że aż zasypali to bagno. I na tym właśnie podłożu utwardzonym, pobudowano, po jednej stronie były takie boksy po trzy baraki, a po drugiej po cztery baraki. I taka ulica gruntowa, może ponad... sądzę, że ponad pięć metrów, nie wiem, czy dziesięć metrów, może nawet i dziesięć metrów, bo to już mi trudno określić. Uwałowana, też na tym samym podłożu, tylko utwardzona, uwałowana. Przed wejściem do obozu były baraki nieogrodzone. To były baraki tego oddziału, który strzegł tam, żeby ktoś nie uciekł z obozu, a oprócz tego to byli rekonwalescenci z frontu, żołnierze. I obsługa kuchni, obsługa łaźni i łaźnia tam była poza tym obozem tak, ale to też jednym pasmem drutów otoczone było. W łaźni i w tych sprawach kuchennych tam, to Rosjanie królowali, bo oni budowali to i tam już parę lat siedzieli. Wyżywienie. Na razie to nas wsadzili do boks takiego, obok którego był karny boks. Za jakieś tam ucieczki, za to, za owo czy jakieś nieposłuszeństwo, to tam wsadzali kacapów. Tam było ich sporo. I myśmy sąsiadowali z tym boksem karnym. Rosjanie zajęli dwa baraki, a my zajęliśmy jeden barak. Normalnie tam już jak posegregowali to na stałe gdzieś, to w baraku takim było o trzy, około 150 ludzi, a nie 480 czy jak tych w dwóch barakach po przeszło 400. I tam dosyć krótko nas trzymali, bo zabrali kacapów do innego boks. Widocznie się coś tam rozluźniło, może ludzie umierali, może coś. W każdym razie zabrali ich i zostaliśmy sami. I wtedy się trzykrotnie rozluźniło, bo w 160 zajęliśmy te trzy baraki. Ale z nimi było dosyć wesoło. Można było się poboksować, chodziło się tam na głodniaka ale do nich, bo oni pierwsze baraki dwa zajmowali, a my ostatni. To były takie parcele odgródzone od siebie boks, podwójnym rzędem drutów kolczastych, od siebie. Z przerwą jakąś dwu-, trzymetrową. I jak się weszło między to, to wartownik tam z bociana, co były co jakiś czas, miał prawo strzelać. I tylko jak nas przywieźli, to na tych 1300 ludzi była jedna pompa. Ale to wodę tego bagiennej spod tych... pomiędzy tych trupów, bo myśmy nie wiedzieli, piliśmy to. Ta woda cuchnęła bagnem, to jak się kolejka uformowała, tyle chłopsstwa do picia, to gdzie, to tam nie sposób było się do tego dostać. Stałem tam w pobliżu jakiś czas i tutaj muszę powiedzieć, że ten prosty żołnierz rosyjski to był bardzo taki życzliwy. Życzliwy. I oni z menażkami wchodzili sobie między te druty, a inni tak się ustawiali, żeby go zasłonić od bociana. I on podawał nam wodę w menażce. I ja się taką wodę napiłem, właśnie podaną przez druty. Zaczęli Niemcy strzelać i tam paru z nich zranili. To oni nie przestali, nie odeszli, to Niemcy przestali strzelać, bo widzieli, że to nie dadzą rady, inaczej może dojść do jakiegoś buntu, większych ofiar, że trzeba ludziom dać jednakże tej wody. I dużo ludzi, i Rosjan, i Polaków z tej wody podawanej przez druty z ryzykiem życia ci żołnierze rosyjscy nam podawali z karnego boks nawet, gdzie był reżim bardzo taki nieprzyjemny dla tych, co tam siedzieli. I trzeba było iść do baraku o pewnej porze i spać. I tu dla odmiany, już nie pchły a pluskwy były, to jak się podeszło do baraku na jakie trzy kroki, to już zaduch tych pluskiew było czuć. Było czuć ten zaduch pluskwi. Paskudne, to było tego pod deską, to było tego setki. Jak się nawet... no, były trzy takie

warstwy w izbie, gdzie tylko na komendę prawie można było się przewracać. To ja się nawet tam nie pchałem, a się położyłem na podłodze, bo i tak były pluskwy, i tak były pluskwy, a tutaj to troszeczkę jakoś było luźniej. Nawet na podłodze spali, bo się nie mieścili tam. Były trzy izby, to po ile, po stu z czymś ludzi, ale było wolno jeszcze spać trzy metry od baraków. To tam nieraz się wychodziło i się odmierzało te trzy kroki tam takie duże i spaliśmy, to tam było mniej pluskiew, ale docierały z tych baraków pomimo wszystko. I trzeba było uważać, bo mogli strzelać. Był reflektor i patrzyli, leżą tam, to niech sobie leżą, blisko jest, to tam tak, jakaś tolerancja była. I na noc to przy wejściu do baraku wykopywali dołek, że tam można było się załatwić, a rano zagrzebywali to. To tak wyglądał nocleg. Była pobudka, trzeba było wstać, umyć się to było dosyć trudno, bo do tej studni to gromada ludzi się zbierała, to trwało. Zjadł śniadanie, to się nie mył. Dopiero gdzieś koło tego rzekomego obiadu mógł się umyć albo jak do łaźni prowadzili. Więc do łaźni prowadzili mniej więcej co 10 dni. I tam nie dawali świeżej bielizny, tylko parowali. Jak dałem do parówki, do odwyszalni swoją marynarkę i spodnie, to w marynarce zmieniła barwę, to wybija się, marynarka ma taki inny materiał tu podbity, to on rudego koloru nabierał. A nieraz to jak ktoś jeszcze miał jakiś taki kożuszek, to widziałem, że z tej parówki to takie prawie jak pół pięści gniazdo wysuszonych wszy było tam. Tylko wytrzeptał i to wiatr porwał. W parówce wyparowała z nich wilgoć. W ten sposób robactwo tam się w tej łaźni można było pozbyć. Ale to tak trochę wyprzedziłem. Bo w tej łaźni, w tej łaźni też były szykany. Raz, że było się trzeba rozebrać i oddać wszystko do tej parówki, a to był młyn. To oni pewno, że wszystkich od razu nie załatwiali w całym obozie, tylko to szło jakoś takimi partiami, bo to miało pewną przepustowość. W każdym razie jak wyglądało pozbawienie zarostu? To podchodziło się nago i dawali brzytwę, tępą dosyć i ja z takim Jakubiakiem wzajemnie byliśmy fryzjerami, bo wszędzie, gdzie zarost trzeba było wygolić, to trzeba było mu tego patafiana na bok odsunąć i wyskrobać i on mnie nawzajem musiał odwdzięczyć się tą czynnością, bo samemu było trudno pod pachami wygolić, bo jak znaleźli, że niewygolone pod pachami i tutaj, to można było dostać parę kopniaków i na nowo kazali to poprawić. Tam żołnierze sprawowali nad tym taki nadzór i to byli ozdrowieńcy, a na takich jak my, to jak miał okazję, to się wyżywał. Gdy już byłem ostrzyżony brzytwą i na całym ciele, to trzeba było podejść i tam stały takie kadzie drewniane, Rosjanie mieli takie kopystki drewniane i nakładał coś, co wyglądało tak jak muł, a to było takie mydło i trzeba było się schylić, i tutaj tego mydła nakładał. A do drugiego się podchodziło, to czymś takim żrącym, kazał ręce podnieść do góry, tu napsikał, tu napsikał, tu napsikał, na głowę tam coś. Na głowę nie, bo chodziło o oczy, to tylko to mydło. I to zaczęło piec, i teraz się podchodziło pod tą szybką, bo inaczej kopniaka dostajesz. I tam były te takie do zmywania, to już szło pod ciśnieniem, była taka woda zimnawa trochę, trochę ciepła, to się pozmywało tu, pozmywało się wszędzie i wtedy można było otrzymać swoje odzienie. Ale trzeba było dalej tę partię tych ubrań, ale to trzeba było szukać. To było zmienione. To było inne. I człowiek z biedą się jakoś ubrał, ale dalej był bosy. Dalej nam nie dawali. Ruski siedzieli w ubraniu i tylko że pasów nie mieli i dostawali mundury, jak miał porwany, to szedł i wymieniano mu. Mieli buty na nogach, a my nie mieliśmy pasów, nie mieliśmy butów, tylko chodziło o to wszystko tak, jak gdzieś by był karny boks. Więc jakie tam było to wyżywienie? Rano to dostawało się piątą część takiego gliniastego bochenka chleba, to sami dzieliliśmy ten chleb. Więc mniejszy, większy kawałek wpadł, to już tam nie dokładali, bo to nie było wagi, tylko na oko. Ale u Niemców to nie był suchy. O, nie. To była kultura. To było tyle, że jedną kromkę można było margaryną posmarować, bo jak podzielił to na dwie czy trzy kromki, to już dalej było suche. To było tam nie wiem, ile deko, ale to było malutko. Malutko tam, jedną kromkę posmarował, powiedzmy margaryną. Innego dnia to było wyłoki takie z buraków cukrowych. To było słodkawe. To dawali tego taką łyżkę dużą, dosyć, stołową jakby łyżkę, to też na kromkę wystarczało, ale nie suchy chleb. I raz było takie dosyć zabawne wydarzenie, bo między nami był

taki troszkę starszawy mężczyzna z Wołomina, który raptem, jak kiedyś taki wyzdrowieniec był, Niemiec francuski, ale to mendowaty taki był i kiedyś mówimy: „No, co żeście tutaj przynieśli, co to, świnie lepiej tam karmią u nas w Polsce”. To było rzadkie, zielsko jakieś, które piekło w język. To musiało być coś nie z brukwi, a z rzepy. Rzepy nie było tam, tylko te same liście. I Rosjanie z jednej i z drugiej strony, i ci z tego boksu karnego, i ci inni z innej strony, normalnego boks, to mówili: „Słuchaj, powoli, po paru dniach i ty będziesz to jadł”, bo myśmy im to oddawali przez parę dni. To nie można było, a potem człowiek to jadł. Więc to takie było pożywienie. Albo była brukiew. To zadowoleni byli ludzie, że tego zielska nie było piekącego w pysku. To był taki obiad. A na kolację to była figa. Dali trochę takiej kawy do popicia. To była taka woda coś, kawa taka zbożowa gorzka i to można było popić tym i była kolacja. To tak wyglądało. Ale jeszcze i były takie dosyć zabawne historie, bo kiedyś dali melasy. I tak jeden staruszek taki, jak my mówiliśmy, 50-paroletni dzielił to, z Wołomina. I widzi, że zabrakło. A tam jeszcze na dnie coś było. To pieron siarczysty wsadził tam łeb do tego garnka takiego i zaczął to wylizywać. Zaczął to wylizywać. To wiara w śmiech wybuchnęła. I w końcu nalizał się tak, co tam było, a niektórym zabrakło tej melasy. Niech je lichy weźmie, jak to nieraz ludzi można upodlić, to niech je krew zaleje. I tego rodzaju historie nieraz były. A kiedyś to się jeden odważył i mówi do tego sfrancuziałego Niemca, właściwie Alzaczka czy jak on tam, że to świnie u nas lepiej dostają jeść. To kazał to zabrać. To ten sam to błagał tego Niemca, żeby nam darował, żeby tej zupy nie zabierał. Taka offerma kwadratowa była i to chłop starszy. Można powiedzieć, że w sile wieku. Taki jakiś był, nie miał jednak ambicji. Bo nieraz człowiek to się śmiał z tych idiotyzmów różnych takich. I jak on tak powiedział, to nam kazali te menażki postawić, tak jak dwudziestki stały czy dwudziestki piątki i zrobili nam to, co w karnej tej, że jak oni jakieś tam wykazali niekoniecznie nieposłuszeństwo, ale chcieli ich ukarać, to właśnie to robili. I nas w kolumnie zaczęli przepędzać wkoło. 480 chłopów po takim piasku suchym jak tam i obok tych naczyń takich byle jakich, tam rzucili takie puszkę konserw, w tym jedliśmy. Sobie tam każdy jakoś urządził, a łyżkę to tam, nie wiem, skąd te łyżki się wzięły i to były i drewniane, i to, i to. Tam za skręta to można było kupić taką łyżkę. Ja też jakoś, nie wiem jak, dostałem taką jakąś łyżkę, to tam swoje litery na tym wygrawerowałem jakimś gwoździem czy czymś, żeby mi kto nie ukradł tego. Więc przepędzili nas tu. To potem co, z łyżka piasku na dnie była, po tym całym, jak nas tak 400 z czymś chłopów przepędzili w koło przy tych puszkach tam wzdłuż baraków, to nie dość, że się człowiek zmęczył, to jeszcze takie z piaskiem tam zjadł. To tamci z karnego obozu to tak co któryś dzień mieli taką zabawę. Tam było dużo muzułmanów w tym karnym tym. Jak oni higienę trzymali, jak oni tam myli się, jak oni tam modlili się co wieczór, ci sowieccy muzułmanie, to można było to popatrzeć, jak ludzie innych wyznań żyją w takim obozie. Oprócz tego warto wspomnieć o takiej nieprzyjemnej sprawie, bo jak tam nas przewieźli, to żeśmy za potrzebą własną nie byli, a człowiek traci ileś tam tej krwi, jego organizm odrzuca, tam powiedzmy 15 deko czy ileś tej krwi, to się nagromadziło przez cztery dni, to na tym drągu, bo to takie były drągi i potem ten dół ustępowy, to otwarty, jakby ten drąg, na którym się siadało, załamał się, to człowiek by tam wpadł, ale to jakoś trzeba, jednak taki się wypadek nie zdarzył, bo to pobudowali dosyć mocno, ale to przez prawie całą szerokość tej działki, na końcu jej, to siadali i tego. To trudno było to z siebie wypchnąć, to, co tam załatwić się, to siedziałem chyba z kwadrans i się męczyłem, aż to ze mnie zeszło. To naprawdę była ciężka sprawa, taka nieprzyjemna.